

JESSICA FOKS



KILL THE *Lies*

LIARS #4.5



Copyright © for the text by Jessica Foks
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Kinga Jaźwińska-Szczepaniak
Korekta: Alicja Szalska-Radomska, Magdalena Kłodowska, Martyna Góralewska
Skład i łamanie: Michał Swędrowski
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8418-161-4 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](#)
✂ Wyd_NieZwykłe
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

JESSICA FOKS

KILL THE
Lies

LIARS #4.5

*Dla każdej kobiety, która była różą w ogrodzie pełnym kłamstw,
ale dzięki kolcom przebiła serca tych, którzy ją zranili.*

OSTRZEŻENIE

Kill the Lies to nowelka zamykająca serię „Liars”. To dopełnienie – brutalne, szczere i pozbawione złudzeń. To dopowiedzenie – głębsze, ciemniejsze, bardziej osobiste.

Akcja tej powieści rozgrywa się równolegle z wydarzeniami finałowej części serii – *The Final Lie*. To opowieść ukryta między wierszami, pomiędzy zdarzeniami, które czytelnik już zna, ale których nie widział w pełnym świetle. Jest prawdą do tej pory pozostającą w ukryciu.

Znasz już zakończenie głównej serii, ale ta opowieść pokaże ci także to, co działo się poza kadrem. Historia nowelki sięga bowiem dalej niż finał czwartego tomu, niż ostatnia strona. Jest spojrzeniem z innej perspektywy.

Książka zawiera treści, które mogą być trudne do zniesienia. Znajdziesz tu opisy przemocy fizycznej i psychicznej, pojawiają się takie tematy jak: uzależnienia, manipulacje, traumy, morderstwa, a także kwestie sumienia, czyli wewnętrznej walki z głosem, który nie zawsze milczy, nawet kiedy wszystko inne już ucichło.

To nie jest historia z prostym morałem. Nie znajdziesz tu łatwego wybaczenia ani cudownego wybawienia. To opowieść o dziewczynie, której nie uratował nikt. Uratowała się więc sama, i to w jedyny sposób, który знаła.

Napisałam tę nowelkę, nie żeby usprawiedliwić zło. Nie tłumaczę przemocy. Ale wierzę, że czasem zło rodzi się w ciszy – tej, w której nikt nie zapytał: „Co ci zrobili?”.

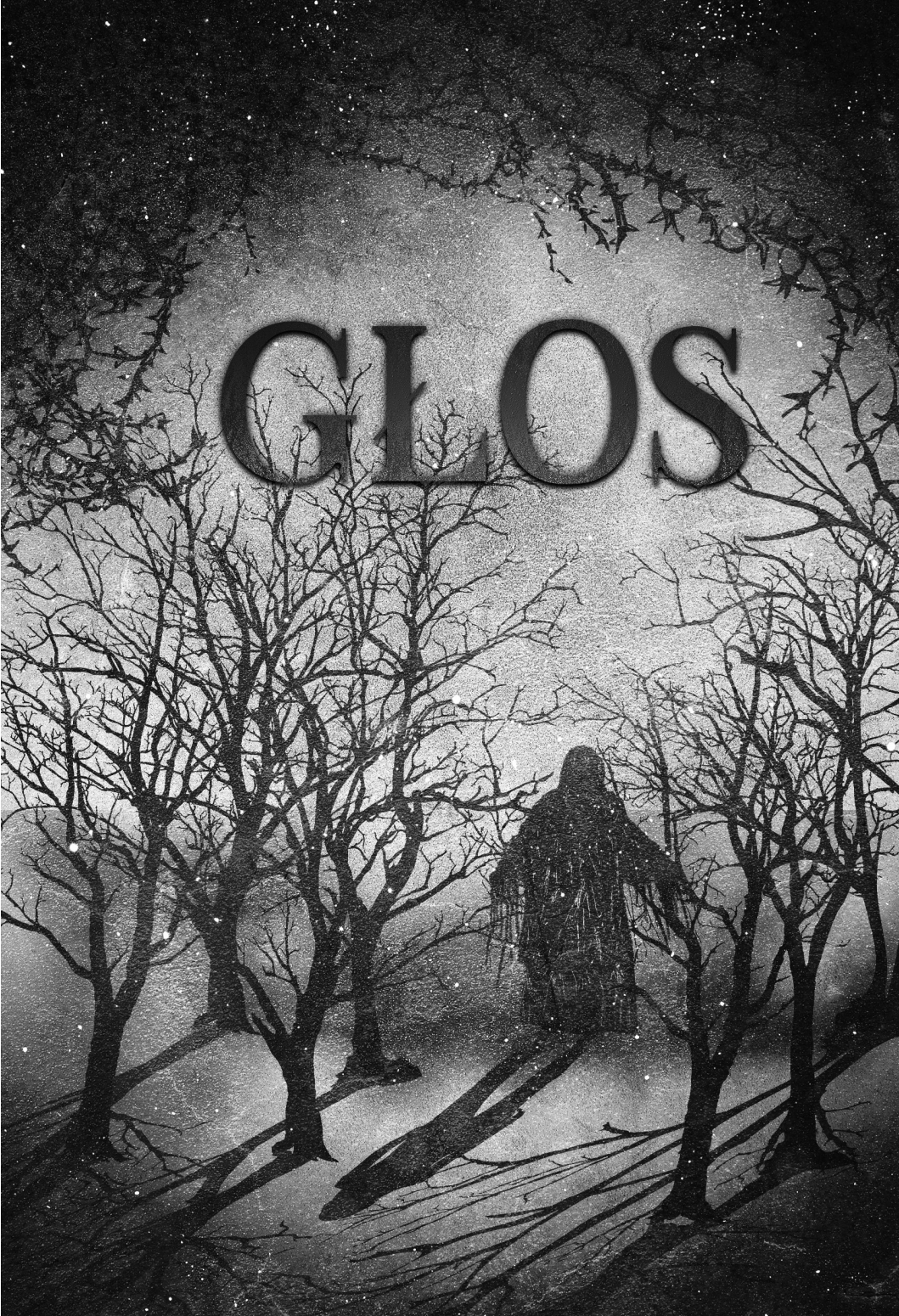
To książka o tym, co się dzieje, gdy granica zostaje przekroczona, a ból nie znajduje ujścia. Gdy nikt nie słucha, a doznane krzywdy przekuwa się w decyzję. Czasem jedyny język, który zostaje, to język zemsty.

Bo prawda nie zawsze jest łatwiejsza do przełknięcia niż kłamstwo.

A niektórych ran nie da się po prostu zaszyć.

Czytasz na własną odpowiedzialność.

GLOS



PROLOG

Śmierć ma dotyk aksamitny, ledwie wyczuwalny – jak płatek róży muskający skórę. Nie przychodzi z krzykiem, lecz z szeptem. Nie ostrzega. Po prostu jest.

Mówili mi, że czas leczy rany. I że ból osłabnie, a blizny przestaną przypominać o ogniu, który je wypalił.

Kłamali.

Nie zawsze byłam tą, która zabija. Kiedyś wierzyłam, że każdy grzech ma swoją cenę, że los sam wyrówna rachunki. Ale los był głuchy, nie słuchał, nie pamiętał. A ja byłam wtedy tylko słabym głosem, który błagał o ratunek. Drżącą dłonią, która zamiast sięgnąć po broń, zaciskała się z bezsilności.

Świat zapomniał o moim bólu, więc nauczyłam go o nim pamiętać.

Mówili mi, że to koniec – że sprawiedliwość została wymierzona i że wyroki przyniosą ulgę. Jednak lata mijały, a ja nadal budziłam się nocami, czując na skórze ich kłamstwa, śmiech, obojętność wobec mojego cierpienia.

Próbowałam żyć. Próbowałam zapomnieć.

Aż pewnego dnia usłyszałam ich nazwiska.

Wyszli. Wciąż oddychali. Wciąż chodzili po tym świecie, jak gdyby nic się nie stało.

Niektóre potwory nie boją się ciemności, bo wiedzą, że nie czeka tam na nie kara, tylko cisza.

Zemsta nie przyszła do mnie w gniewie. Nie była impulsem. Najpierw była jedynie myślą – cichą i ledwo wyczuwalną, jak szarobiały dymek w powietrzu – ale z czasem gęstniała, wnikała w moją krew, w moje kości, aż wsiąknęła we mnie doszczętnie.

Nie zabijałam przypadkowych ludzi. Nie wybierałam ofiar po omacku. Zabijałam tych, którzy na to zasługiwali. Tych, których świat oszczędził, choć nigdy nie powinni zaznać spokoju. Czekałam, obserwowałam, a potem wymierzałam to, co im się należało. Stałam się równowagą, nocnym echem cudzych krzywd.

Wiedziałam, jak wygląda śmierć. Widziałam ją w odbiciu swoich oczu, zanim stałam się jej częścią.

Moje dłonie, kiedyś delikatne, nauczyły się zadawać ból. Moje serce, kiedyś czułe, stwardniało, aż stało się ostrzem. Każdy mój oddech, każdy krok prowadził mnie tutaj – do chwili, gdy sprawiedliwość przestaje być słowem, a staje się czynem.

Kładę złotą różę na stygnącej skórze. Niech będzie ostatnim pocałunkiem. Niech przypomina temu zbrodniarzowi, że nawet najpiękniejszy kwiat skrywa ciernie.

Nie jestem bohaterką w tej historii. Ale i wy nie jesteście niewinni.

Nie zabijam z własnej woli.

Zabijam, bo nikt inny nie miał odwagi tego zrobić.

Zabijam, bo świat pozwala potworom żyć bezkarnie.

Zabijam, bo stałam się tym, czego sama się bałam.

ROZDZIAŁ 1

POWRÓT ROSALIE

Iris

16 grudnia 2025 roku

Nie mogłam spać. Leżałam w ciemności, wsłuchując się w jednostajny szum miasta, a moje myśli krążyły wokół jednej osoby, jednego wydarzenia, które rozdarło coś we mnie na strzępy.

William Bennett nie żyje.

Każda sylaba tego imienia i nazwiska odbijała się od ścian mojej głowy niczym echo, przypominając mi o przeszłości, od której tak desperacko próbowałam uciec.

Te słowa brzmiały jak wyrok, choć nie byłam pewna, na kogo został wydany. Na mnie? Na nich? Na miasto, które opuściłam ponad sześć lat temu?

Connor zadzwonił wieczorem, gdy odwiedził nas ojciec Kalena wraz z partnerką. Powiedział mi, kiedy odbędzie się pogrzeb. Głos miał przytłumiony. Od razu wyczułam, że nie chce, bym wróciła do miasta. Chyba wierzył, że zdołam się powstrzymać i zrozumieć, jak wielkie może to być zagrożenie – nie tylko dla mnie, ale i dla wszystkiego, co udało mi się zbudować przez te lata. Teraz w końcu miałam spokój. Po raz pierwszy od dawna nikt mnie nie ścigał, nikt nie patrzył w moją stronę z podejrzliwością, nikt nie szeptał mi za plecami. Byłam bezpieczna. Byłam wolna.

A mimo to zamierzałam tam wrócić. Musiałam.

Pożegnanie bliskiej osoby było ważniejsze niż strach, a przynajmniej próbowałam w to uwierzyć.

Tyle że ta dziewczyna, którą wszyscy z Carlsbad pamiętali, nie istniała.

Nie byłam już Rosalie. Ona umarła w dniu, w którym zmuszono ją do ucieczki. W dniu, w którym spojrzała w lustro i uświadomiła sobie, że nigdy więcej nie zobaczy tej samej twarzy.

Teraz byłam Iris.

Rosalie miała brązowe włosy, które opadały na ramiona miękkimi falami. Iris – proste, sięgające do połowy pleców blond pasma, chłodne i jasne jak słońce odbijające się w lodzie.

Rosalie miała łagodne, ciepłe, brązowookie spojrzenie, które potrafiło wzbudzić zaufanie. Iris patrzyła uważnie, ostrożnie, z dystansem lodowatoniebieskim wzrokiem.

Obie pragnęły natomiast tego samego. Marzyły o prostym, spokojnym życiu, o przyszłości, w której nie będą musiały się bać. Łaknęły kontroli, bo chciały czuć, że to one rządzą własnymi losami, że nikt więcej nie odbierze

im życia i nie zmusi do ucieczki, a także nie sprawi, iż poczują się bezradne.

Zmiana tożsamości nie polegała tylko na przybraniu nowego imienia czy przefarbowaniu włosów. Musiałam nauczyć się chodzić inaczej, mówić inaczej. Nie mogłam pokazywać, że boję się własnego cienia ani że analizuję każdą sytuację czy każdy czyjś ruch i traktuję każdego jak osobę, która mogła chcieć mnie zaraz porwać.

Carlsbad – miasto, które niegdyś znałam jak własną kieszeń, teraz było mi obce. Ludzie, którzy kiedyś byli moimi przyjaciółmi, teraz stali się zaledwie cieniami wspomnień. Ale to nie oni budzili we mnie strach. Bałam się tych, którzy wciąż tam byli. Tych, którzy mnie zranili. Którzy myśleli, że mogą to zrobić bez konsekwencji.

Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w bicie własnego serca – powolne, miarowe, a jednak z każdym uderzeniem coraz bardziej zdecydowane. Przez lata tłumiłam w sobie gniew, chowałam urazę głęboko w podświadomości, udawałam, że jestem ponad to – ponad żal, złość czy potrzebę odwetu. Że po prostu mogę żyć dalej.

Powoli usiadłam na skraju łóżka i ostrożnie oparłam stopy o zimną podłogę. Wstrzymałam powietrze i zaczęłam nasłuchiwać – Kalen spał spokojnie, jego miarowy oddech wypełniał ciszę sypialni, co niemal kojąco wpływało na moje rozedrgane myśli. Przez krótką chwilę rozważałam, czy nie wrócić do łóżka, czy nie wtulić się w ciepło ciała mężczyzny i udawać, że ten impuls, który mnie obudził, nie istnieje. Ale to byłoby kłamstwo. Nie mogłam dłużej przed tym uciekać.

Wstałam i stawiając ostrożnie kroki, podeszłam do drzwi. Otworzyłam je, po czym zamknęłam najciszej, jak potrafiłam, nie oglądając się za siebie.

W salonie panowała cisza przerywana jedynie tykaniem zegara. Usiadłam przy stole, otworzyłam laptopa i nacisnęłam przycisk zasilania. Ekran rozbłysnął ostrym światłem, przez moment rażąc moje oczy, ale nie odwróciłam wzroku. Chwilę po tym, jak włączyłam przeglądarkę, moje palce zawisły nad klawiaturą, bo w ostatnim momencie ogarnęło mnie wahanie.

Czy naprawdę chcę to wiedzieć? Czy jestem gotowa na to, co mogę znaleźć w sieci?

Odpowiedź pojawiła się niemal natychmiast.

Tak.

Nie miałam już wyboru.

Powoli zaczęłam wpisywać imię i nazwisko człowieka, który przed laty niemal mnie zabił. Litery układały się na ekranie w znajome kształty, ale czułam do nich odrazę.

Kevin Black.

Były chłopak Rosalie – dawnej mnie. Człowiek, który próbował ją zamordować. Wiedziałam od Connora, że wyszedł na wolność wiele lat temu, ale nigdy nie miałam odwagi sprawdzić, co się z nim teraz dzieje. Unikałam tego tematu, licząc, że to może sprawić, iż ten chłopak przestanie być rzeczywistością. Ale teraz już nie mogłam udawać, że mnie on nie obchodzi.

Wcisnęłam „enter” i natychmiast zostałam zasypana lawiną wyników wyszukiwania. Moje serce biło coraz szybciej, kiedy otwierałam kolejne linki i przerzucałam strony. Tak jak mówił mi Davies i tak, jak wyczytałam, Kevin Black rozpoczął odsiadki wyroku z powodu morderstwa Samantha Johnson, lecz po niespełna trzech latach opuścił więzienie.

Trzy lata.

Tylko tyle. Zabił człowieka. Próbował zabić także Rosalie. A mimo to był na wolności, jakby jego zbrodnie nigdy się nie wydarzyły, jakby świat po prostu postanowił mu wybaczyć.

Jak to możliwe? Jakim cudem system sprawiedliwości pozwolił mu chodzić po ulicach, oddychać tym samym powietrzem co ludzie, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzili?

Ciągle się nad tym zastanawiałam...

Zacisnęłam zęby, a gniew zaczął powoli sączyć się do moich żył, ogrzewając je jak płynny ogień. Wpatrywałam się w ekran, czując, jak w mojej piersi narasta coś mrocznego i znajomego. Nie minęło pięć minut i już wiedziałam wszystko, czego potrzebowałam.

Kevin Black ukończył studia w Waszyngtonie i miał dobrą pracę. Żył tak, jak gdyby nigdy nie splamił rąk krwią i nigdy nie był potworem. Na zdjęciach wyglądał na zadowolonego, jakby jego wolność była czymś, co mu się należało.

Nie zamierzałam poprzestać tylko na tych informacjach.

Palce znów zaczęły uderzać w klawiaturę, tym razem szybciej, z większą determinacją.

Liam Robinson.

Kolejna osoba, która chciała zabić Rosalie. Kolejne imię, którego przez lata unikałam, lecz teraz pojawiło się na ekranie napisane zimnym, czarnym drukiem.

On również wyszedł na wolność – niecały rok po moim wyjeździe z miasta. W sieci było o nim niewiele informacji, co oznaczało, że zapewne wolał trzymać się w cieniu. Może się bał. Może wiedział, że ludzie pamiętają, bo w końcu jego ojciec dalej był szeryfem. Może zdawał sobie sprawę,

że gdyby się wychylił, ktoś mógłby mu przypomnieć, kim naprawdę jest. Ale jedno było pewne – żył na wolności, w spokoju, w mieście, z którego ja musiałam uciec, by móc oddychać.

Zacisnęłam dłonie w pięści, a paznokcie boleśnie wbiłam w skórę.

Zabili tamtą wersję mnie.

Dziewczynę, która miała marzenia, która planowała przyszłość, która wierzyła w dobro ludzi. Zniszczyli ją, roztrzaskali na drobne kawałki, które nigdy nie miały się już poskładać.

A ten, który mnie porwał? Pewnie też cieszył się życiem. Pewnie się śmiał, zasypiał bezkarnie w swoim łóżku, czując się bezpiecznie, podczas gdy ja każdego dnia dźwigałam ciężar przeszłości.

I wtedy... znowu go usłyszałam.

Ten głos. Znajomy. Mój, a jednak obcy. Cichy, ledwie słyszalny, ale wyraźny jak echo dawno zapomnianej prawdy.

„Dlaczego ciągle czekasz? Dlaczego nic z tym nie zrobisz?” – zapytał.

A co mogę zrobić? – odpowiedziałam w myślach, zbyt zmęczona, by z nim walczyć.

„Zastanów się... Pozwolisz im żyć? Po tym, co ci zrobili? Pozwolisz im zapomnieć, kiedy ty nie możesz?”

Ja... chcę tylko być bezpieczna. To jedyny sposób.

„Bezpieczna? Oni uznali cię za słabą. Taką chcą cię zapamiętać: tchórzliwą, cichą, martwą” – zaśmiał się.

Nie... Nie chcę być tak zapamiętana – wyszeptalam w duchu.

„Więc wstań. Walcz. Pokaż im, kim się stałaś!”

A kim się stałam...?

Zapadła cisza. Przez ułamek sekundy pomyślałam, że może zniknął. Może zrezygnował.

Ale potem wrócił. Jeszcze wyraźniejszy. Jeszcze chłodniejszy.

„Potworem” – odpowiedział.

I po raz pierwszy... nie zaprzeczyłam.

Zaczerpnęłam drżący oddech i odchyliłam się na krzesło, pozwalając, by przetoczyła się przeze mnie fala emocji, nad którą nie mogłam zapanować. Wciąż wpatrywałam się w ekran, a moje serce biło coraz szybciej, coraz mocniej, jakby próbowało wydostać się z klatki piersiowej.

Nie byłam już tą dziewczyną, którą skrzywdzili. Nie byłam ofiarą. Ofiary się chowały, a ja zamierzałam wyjść z cienia.

Skoro oni mogli do tej pory żyć w spokoju... To teraz ja mogłam im ten spokój odebrać.

Zemsta.

Słowo to pojawiło się w moich myślach nagle, jak uderzenie pioruna – gwałtowne i nieuniknione. Wbiło się w mój umysł niczym ostrze, którego nie dało się już wyrwać. Przez lata czułam gniew – tłumiony, lecz tłący się w zakamarkach duszy i ciała – ale teraz... Teraz płonął we mnie niczym pożar.

Chciałam im odebrać wszystko. Chciałam, żeby cierpieli tak, jak ja cierpiałam przez nich. To oni mnie zabili. Może nie dosłownie, może moje serce nadal biło, a płuca wciągały powietrze, ale... Rosalie nie żyła.

I za to mieli zapłacić.

Zaczęłam przeglądać informacje o Carlsbad. Instynktownie szukałam czegoś, co popchnie mnie dalej. I wtedy natrafiłam na artykuł, którego nagłówek brzmiał:

Aleric Bramwell – zamordowany.

Czytałam powoli, słowo po słowie, chłonąc każde zdanie. Dowiedziałam się, że mężczyzna kandydował na stanowisko burmistrza, ale ktoś wbił mu w serce złoty sztylet.

Złoty sztylet...

Coś we mnie drgnęło. Brzmiało jak ostrze wymierzonej sprawiedliwości.

Gdzie można kupić złoty sztylet? – zastanawiałam się w myślach.

Zaczęłam szukać. Palce ślizgały się po klawiaturze, spojrzenie przebiegało po kolejnych stronach. I w końcu go znalazłam. Leżał za szkłem w małym antykwariacie, zaledwie piętnaście minut drogi ode mnie. Spojrzałam na zegarek. Było wpół do siódmej rano. Sklep otwierano o siódmej.

Serce waliło mi w piersi, gdy gwałtownie wstałam z krzesła. Nie zastanawiając się, podeszłam do wieszaka i sięgnęłam po czarny płaszcz. Był długi, ciężki, z głębokim kapturem, który mogłam naciągnąć na głowę i który skrywał moją twarz w cieniu. Zapięłam go ciasno pod szyją i wyszłam na chłodne, deszczowe powietrze.

Złapałam taksówkę. Nie pamiętam, którą drogą jechaliśmy. Nie pamiętam, czy kierowca coś mówił, czy milczał. Nie obchodziło mnie to. Kiedy w końcu wysiadłam z auta i stanęłam przed antykwariatem, deszcz osiadał mi na kapturze i spływał po rękawach, tworząc drobne krople zbierające się na krawędziach materiału, by chwilę później spaść na chodnik. Wpatrywałam się w witrynę sklepu, obserwując przygaszone światła i półki pełne przedmiotów z przeszłości. Po chwili go zobaczyłam – mężczyznę, który zmierzał ku drzwiom. Zatrzymał się na moment, jego spojrzenie padło na mnie.

– Długo panienka tu czeka? – zapytał z nutą zdziwienia w głosie. – Jest panienka cała mokra.

– Chwilkę – odrzekłam spokojnie. – Nie spodziewałam się, że będzie tak padać.

Nie odpowiedział od razu. Przez sekundę zdawało mi się, że mnie ocenia, że waha się, czy mnie wpuścić, ale w końcu skinął głową i otworzył drzwi, a cichy dźwięk dzwonka zawieszzonego nad wejściem rozbrzmiał w przestrzeni sklepu.

– Zapraszam.

Przekroczyłam próg. W środku było ciepło, pachniało starym drewnem, kurzem i czymś metalicznym, niemal surowym. Wiedziałam, czego szukam. Mój wzrok przebiegał po półkach wypełnionych książkami, starymi figurkami i zegarami, po szklanych gablotach, w których kryły się przedmioty o nieznanej historii. Aż w końcu...

Były tam.

Złote sztylety.

Leżały pod gablotą, samotne, czekające. Ich rękojeści ozdobiono żłobieniami w formie złotych róż, a ostrza wydawały się aż nazbyt ostre jak na tak stare przedmioty. Zaczęłam je liczyć. Nie miałam pojęcia, ile ich będę potrzebować, ale naliczyłam siedem. Wstrzymałam oddech. Czułam, jak moje palce lekko drżą, choć nie było to drżenie z powodu niepewności. Wywoływało je coś innego.

Świadomość przeznaczenia.

– Poproszę te złote sztylety – powiedziałam, ledwie powstrzymując się przed sięgnięciem po nie natychmiast.

Sprzedawca spojrzał na mnie zaskoczony.

– Ale że wszystkie? – zapytał.

W odpowiedzi pokiwałam tylko głową.

– Och, oczywiście. Bardzo długo już się u mnie znajdują. Byłem pewny, że nikt ich nigdy nie kupi.

Otworzył gablotę i ostrożnie wyjął przedmioty. Ich ostrza lśniły w przytłumionym świetle sklepu, jakby tylko

czekały, aż je dotknę. Gdy moje palce owinęły się wokół rękojęści jednego z nich, poczułam dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Była idealnie dopasowana. Sztylety okazały się cięższe, niż się spodziewałam – solidne, zimne, na swój sposób niemal żywe.

Zapłaciłam gotówką, po czym schowałam cenne zdobycze w dużej torbie. Wyszłam na ulicę, prosto na chłodny deszcz, który rozmywał świat wokół mnie, rozmywał granicę między tym, kim byłam, a tym, kim się stawałam. Tak jak wcześniej, zanim przekroczyłam próg antykwariatu, krople uderzały o chodnik, spływały po moim płaszczu, odbijały się od materiału, ale ja ich nie czułam. Byłam skupiona. Byłam zdecydowana. W głowie miałam jedno słowo – jedno jedyne słowo pulsujące jak bicie serca:

Sprawiedliwość.

Ruszyłam przed siebie, pozwalając prowadzić się instynktowi. I wtedy los – lub może coś jeszcze silniejszego – sam do mnie przemówił. Mój wzrok padł na witrynę sklepu znajdującego się po drugiej stronie ulicy, a tam, w rozświetlonym oknie wystawowym, wisiał czerwony płaszc.

Nie był to zwykły odcień czerwieni. Ani nie krwista czerwień szminki, nie czerwień jesiennych liści. To był głęboki, intensywny czerwony kolor. Kolor gniewu, bólu.

Kolor zemsty.

Wstrzymałam oddech, coś ścisnęło mnie w piersiach. Przez moment stałam nieruchomo, wpatrując się w ten płaszc. Ale już po chwili przeszłam przez ulicę i wkroczyłam do środka, a dzwonek nad drzwiami rozbrzmiał cicho, melodyjnie.

W sklepie było ciepło, pachniało skórą i perfumami. Sprzedawczyni spojrzała na mnie z zainteresowaniem, ale

ja nie zwracałam na nią uwagi. Podeszłam do manekina, sięgnęłam po płaszcz i zarzuciłam go na ramiona. Był idealny. Miękki, ale ciężki, otulający mnie jak zbroja. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze stojącym w kącie pomieszczenia.

To nie była Iris.

Iris była silna. Iris potrafiła uciec i zacząć od nowa. Iris była bezpieczna.

Osoba, która patrzyła na mnie z lustrzanego odbicia, miała inne oczy – ciemniejsze, surowsze, pełne czegoś, czego dawno nie czułam i co bałam się poczuć.

To była Rosalie.

Nie zginęła. Nie wyparowała z tej rzeczywistości, tak jak wszyscy chcieli.

Przetrwała.

Ale nie była już tą Rosalie, którą kiedyś znałam. Nie była już tą dziewczyną, którą można było skrzywdzić, upokorzyć, złamać.

Podeszłam bliżej lustra. Moja dłoń powoli, niemal z czułością, przesunęła się po czerwonym materiale.

– Wszyscy zapłacą. – Moje usta opuścił cichy, ale pełen mocy szept. – Każdy z nich.

Iris nigdy by tego nie chciała. Ale ona nie miała już nic do powiedzenia.

Rosalie wróciła.

I nikt nie mógł jej powstrzymać.